

JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK

● Prowadzimy tę rozmowę siedząc w kuchni. Czy ma to oznaczać, że kuchnia jest Pani królestwem?

— Wcale nie. Chociaż jest tu rzeczywiście przytulnie. Jednak, mając taką rodzinę, zmuszona jestem gotować w domu, ale serdecznie tego nie znoszę.

● Czy również stoi Pani w kolejkach?

— A co mam robić?

● Jak z zaopatrzeniem na Służewcu?

— Takie samo jak wszędzie, czyli bardzo słabe.

● Ma Pani dwoje dzieci i do tego jest popularna, co znaczy zapracowana, aktorką. Jak można to wszystko pogodzić?

— Jakiś trzeba. Syna posyłam do żłobka a córka chodzi do szkoły i jest już bardzo samodzielna. Przed południem mam więc sprawę częściowo załatwioną. Ale po południu są problemy. Wszystko zależy od mego i męża czasu. W sytuacjach awaryjnych pomocą służy babcia. Na pomoc domową nas nie stać.

● Tak więc wygląda życie kobiety, przepraszam — człowieka — sukcesu?

— Sukcesu? Bardzo się cieszę, że pan tak uważa.

● A Pani nie uważa?

— Zupełnie się nad tym nie zastanawiam.

● Jakże inaczej nazwać karierę aktorki z takim wspólnym dorobkiem? Pierwszy raz zobaczyłem Panią w dyplomowym przedstawieniu „Matki” Witkacego, gdzie grała Pani tytułową rolę.

— To rola dla mnie szczególnie, również dlatego, że grałam ją będąc w ciąży ze swym pierwszym dzieckiem.

● Zdecydowała się Pani na małżeństwo i macierzyństwo tak wcześnie?

— Raczej tak późno, gdyż miałam już 21 lat.

● Ale jest Pani nie tylko kobietą, lecz i artystką. Ponoć artystki dzieci nie mają...

— Coś w tym jest. Jednak wówczas przede wszystkim chciałam być kobietą. Potem się to zmieniło. Poza tym moja ciąża spowodowała, że komisja egzaminacyjna była łagodniejsza. Potnyślałam sobie, że urodzę dziecko i wezmę się do roboty. Ale świat mi się jednak przekręcił i straciłam rok. Ostatecznie nie jest to wielkie.

● Myślę, że komisja egzaminacyjna w większym stopniu wzięła pod uwagę Pani talent niż stan. Angaż do stołecznego Teatru Dramatycznego jest tego potwierdzeniem.

— Tak nie było od razu. Najpierw pojechałam do Puław, gdzie z kolegami chcieliśmy zrobić rewolucję w teatrze i miejscowym społeczeństwie. Nie udało się jednak.

● Dlaczego?

— Z prostej przyczyny: tam w ogóle nie było zapotrzebowania na teatr, szczególnie eksperymentalny. Ludzie stamtąd wolą wyprawy teatralne do Lublina i Warszawy, bo z tym wiąże się zawsze jakieś dodatkowe atrakcje.

● Sądzę, że Puławy dają się rozciągnąć, pod tym względem, na całą Polskę prowincjalną.



na zamówienie

— Tak mi się zdaje. W każdym razie wróciłam do Warszawy i znalazłam się w Teatrze Dramatycznym.

● I w ten sposób rozpoczyna się Pani aktorski życiorys, pełen świetnych ról i sukcesów, co nie warto przypominać, bo wszyscy to wiemy. Czy ma Pani jakąś ulubioną rolę?

— Chyba tę ostatnią, w węgierskim filmie „Inne spojrzenie”.

● Za którą otrzymała Pani najwyższą nagrodę, jaką przyznano kiedykolwiek polskiej aktorce, Grand Prix na festiwalu filmowym w Cannes. Jak się przyjmuje taką nagrodę?

— Mam to już z głowy. Mówiąc serio, z zaskoczeniem, chociaż na roboczej projekcji tego filmu po raz pierwszy nie czułam wstydu za siebie.

● Zagrała Pani w tym filmie — którego jeszcze nie oglądaliśmy na naszych ekranach — postać niezwykłą, osobę uwikłaną w trudną zewnętrzną rzeczywistość i w bardzo skomplikowane, dalekie od tzw. norm, życie osobiste.

— Bardzo dużo już o tej roli mówiłam i nie chcę się powtarzać. Powiem tylko, że po przeczytaniu scenariusza „Innego spojrzenia” wiedziałem, że jest to strzał w dziesiątkę.

● Jaka jest atmosfera festiwalu w Cannes? Jak się odbiera nagrodę? Kto Panią ubrał i udekorował?

— Udekorowałam, i wyglądałam jak zmokła kura. Ale nie o to chodzi. Przecież jest niesamowicie, bo człowiek znajdując się nagle w świecie zupełnie niepodobnym do naszego. Jest się w centrum uwagi wszystkich. Poznałam wielu wybitnych aktorów: Jaekę Lemanną, Anouk Aimée, Marię Vladę, którzy mnie, debiutantkę na tamtejszym terenie, potraktowali z ogromną życzliwością i sympatią, jakbym należała do ich grona już od wieków. Poza tym — i na szczęście — nie byłam w Cannes zupełnie sama. Był tam Jerzy Skolimowski, który otrzymał nagrodę za angielski film „Fucha”, oraz Daniel Olbrychski, który z kolei reprezentował francuskie jury.

● Jednym słowem: nasz ludzie w Cannes...

— Tak. Tylko pod obcymi banderami.

● I jak po takich przeżyciach wraca się do domu, do naszej rzeczywistości?

— Do domu — bardzo przyjemnie.

● Powiedzmy na koniec coś o Pani najbliższych planach.

— Niezmiernie mi zależy, żeby nie zapeszyć.

● To nie zapesząmy. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:

Andrzej Sobolewski

— Sama się ubrałam i Fot. CAF — Rozmysłowicz